

Juliusz Verne
Dzieje Jeana Morenasa

Tytuł oryginału francuskiego: La destinée de Jean Morénas

Tłumaczenie:

Barbara Supernat (1996)

Wstęp

(pochodzi z wydania broszurowego)

Przedstawiamy dzisiaj czytelnikom inną wersję opowiadania *Pierre-Jean*, wydanego po raz pierwszy we Francji w roku 1993 w zbiorze opowiadań zatytułowanym *San Carlos et autres récités inédits [San Carlos i inne niewydane opowiadania]*. W Polsce ten utwór ukazał się w Tomie 6 "Biblioteki Andrzeja" pod tytułem *Pierre-Jean*, w tłumaczeniu pani Barbary Poniewiera.

Jak wiemy ze wstępu zamieszczonego w tamtym tomie, opowiadanie datuje się z młodości autora cyklu "Nadzwyczajne Podróże" i pochodzi prawdopodobnie z 1852(!) roku.

Przedstawiona tutaj wersja pochodzi ze zbioru opowiadań wydanych w 1910 roku pod wspólnym tytułem *Hier et demain [Wczoraj i jutro]*. Opowiadanie to zostało znacznie zmodyfikowane, prawdopodobnie przez samego Juliusza, a dodatkowo jeszcze przez Michela Verne'a, który przygotowywał do druku ten zbiór.

Prezentujemy je dlatego, że znacznie odbiega od swej pierwotnej wersji, zarówno pod względem zawartości treści jak niektórych szczegółów.

Przesłanie tych utworów też jest diametralnie różne. W *Pierre-Jean* opowieść kończy się optymistycznie – galernik wydostaje się na wolność. W *Dziejach Jeana Morénasa* historia kończy się powrotem bohatera na galery.

Przeczytajcie, Drodzy Czytelnicy, to, i wcześniejsze opowiadanie. Które jest ciekawsze? Ocenę pozostawiam Wam.

Życzę przyjemnej lektury
Andrzej Zydorczak

I

Historia ta zdarzyła się dosyć dawno temu. Pewnego dnia, a było to pod koniec września, przed pałacem wiceadmirała, szefa komendantury w Tulonie, zatrzymał się elegancki powóz. Wsiadł z niego mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, dobrze zbudowany ale o wyglądzie dość przeciętnym i przedstawił wiceadmirałowi oprócz swojego dowodu tożsamości listy polecające, podpisane takimi nazwiskami, że natychmiast otrzymał audiencję, o którą usilnie zabiegał.

– Czy mam zaszczyt rozmawiać z panem Bernardonem, znanym w Marsylii armatorem?
– zapytał wiceadmirał, kiedy wprowadzono doń przybysza.

– We własnej osobie – odpowiedział.

– Zechce pan usiąść – kontynuował wiceadmirał. – Jestem do pańskich usług.

– Jestem panu za to niezmiernie wdzięczny, admirale – podziękował pan Bernardon. – Nie sądzę jednak, aby moja prośba należała do tych, które przyjmowane są przychylnie.

– O cóż więc chodzi?

– Całkiem po prostu o pozwolenie zwiedzenia więzienia.

– Nic bardziej prostrzego – powiedział wiceadmirał – i wszystkie te listy polecające, które mi pan przedstawił, nie były wymagane dla człowieka o pańskim nazwisku.

Pan Bernardon skłonił się, po czym ponownie wyraził swoją wdzięczność i zapytał o formalności do wypełnienia.

– Nie ma żadnych – otrzymał odpowiedź. – Proszę zgłosić się do szefa sztabu z listem ode mnie i pańskie prośby spełnione będą bezpośrednio na miejscu.

Pan Bernardon pożegnał się, po czym zaprowadzono go do naczelnika, od którego otrzymał zgodę na wejście do Arsenału. Ordynans zaprowadził go następnie do komisarza galer, który ofiarował mu swoje towarzystwo.

Marsylczyk podziękował grzecznie, lecz odmówił poczynionej mu propozycji, wyrażając życzenie pozostania samemu.

– Jak sobie pan życzy – zgodził się komisarz.

– Nie ma więc żadnych przeciwwskazań, abym poruszał się swobodnie po terenie więzienia?

– Żadnych.

– Ani przy porozumiewaniu się ze skazańcami?

– Nie. Adiutanci są uprzedzeni i nie będą panu czynić żadnych trudności. Pozwoli pan jednak, że wyjaśni nam, jaki jest cel tej przygnębiającej w końcu wizyty?

– W jakim celu?...

– Tak. Czy przywiodła tu pana ciekawość, czy też ma pan inny cel... filantropijny na przykład?

– W istocie filantropijny – żywo odparł pan Bernardon.

– Świetnie! – powiedział komisarz. – Jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju wizyt. Wpływowe osobistości mogą zdziałać wiele dobrego, przekazując dalej swoje spostrzeżenia. Rządowi zależy bardzo na poprawie systemu ciężkich więzień. Wiele rzeczy zostało już zrealizowanych.

Pan Bernardon swoją postawą milcząco wyrażał brak zainteresowania tematem. Komisarz jednak, podjąwszy pasjonujący go problem i mając doskonałą okazję do przedstawienia swoich poglądów, nie zauważył obojętności swojego rozmówcy i kontynuował niezmiernie:

– W tego rodzaju sprawach bardzo trudno jest zachować właściwe podejście i umiar. Jednakże nie należy przesadzać z surowością prawa. Trzeba też zważać na osądy uczuciowe, które umniejszają zbrodnię, zdając sobie sprawę z ciężaru kary. W każdym razie, my tutaj doskonale zdajemy sobie sprawę, że system sprawiedliwości powinien być zmodyfikowany.

– Podobne poglądy przynoszą panu zaszczyt – odpowiedział pan Bernardon – i jeśli tylko moje spostrzeżenia mogą pana zainteresować, z przyjemnością przekażę je panu po zwiedzeniu więzienia.

Panowie rozstali się i Marsylczyk, zaopatrzony w doskonałą przepustkę, skierował się w stronę więzienia.

Wojskowy port w Tulonie w zasadzie składał się z dwóch ogromnych wieloboków, których północne strony opierały się na nadbrzeżu. Jeden z nich, określane mianem Nowego Doku, znajdował się na zachód od drugiego, zwanego Starym Dokiem. Obszar ten był naturalnym przedłużeniem fortyfikacji miejskich. Posiadał wiele grobli wystarczająco szerokich, aby stanowiły podstawę długich budynków, składów maszynowych, koszar, magazynów marynarki wojennej, itd.

Każdy z tych doków, istniejących do dzisiaj, ma od południowej strony wyjście wystarczająco duże dla przepłynięcia liniowców. Umożliwiały one swobodny ruch, ponieważ przypyły i odpływy morza Śródziemnego były zawsze stałe i nie wymagały zamykania doków.

W czasie, kiedy miały miejsce wydarzenia, o których mowa, Nowy Dok od strony zachodniej ograniczony był magazynami i parkiem artylerii, a na południu, na prawo od wejścia, które wychodziło na niewielką redę, budynkami więziennymi, obecnie nieistniejącymi. Składały się one z dwóch części, łączących się ze sobą pod kątem prostym. Pierwsza, znajdująca się przed składem maszyn, wysunięta była na południe, druga zaś – w kierunku Starego Doku i obejmowała koszary oraz szpital. Niezależnie od tych budowli istniały trzy więzienia pływające, na których przebywali więźniowie skazani na czas określony, podczas gdy skazańcy, którzy otrzymali wyrok dożywocia, mieszkali na stałym lądzie.

Jeśli jest na świecie miejsce, gdzie równość nie ma prawa istnieć, z całą pewnością jest nim więzienie. W związku z wagą zbrodni i stopniem zgnilizny moralnej system penitencjarny powinien wprowadzić podział na kasty i klasy. Cóż, jest to nierealne. Skazańcy różnego wieku i rodzaju wymieszani są ze sobą. Z tak żalosnej zbieraniny powstać może jedynie odrażająca korupcja, a rozprzestrzenianie się zła zbiera obfite żniwo wśród tej zgangrenowanej masy ludzkiej.

W chwili, kiedy miały miejsce zdarzenia z tego opowiadania, w więzieniu w Tulonie przebywały cztery tysiące skazańców.

Zarządy Portu, Budownictwa Morskiego, Artylerii, Centralnego Magazynu, Zakładów Hydraulicznych i Budownictwa Cywilnego zatrudniały przy najcięższych pracach trzy tysiące więźniów.

Ci, dla których brakło miejsca w tych pięciu wielkich instytucjach, zatrudnieni byli w porcie przy załadunku, rozładunku i holowaniu statków, transporcie szlamów, ładowaniu i rozładowywaniu amunicji i żywności. Niektórzy byli pielęgniarzami, robotnikami kwalifikowanymi. Przy tym niektórzy więźniowie skazani byli na podwójny łańcuch ze względu na próby ucieczki.

Już od dość dawna nie zanotowano żadnego przypadku tego rodzaju i przez kilka miesięcy poprzedzających wizytę pana Bernardona w Tulonie nie rozległ się huk alarmowego działa.

Nie oznaczało to bynajmniej osłabienia sprytu i umiłowania wolności w sercach skazańców, lecz wydawało się jakby lekkie zniechęcenie uczyniło łańcuchy cięższymi.

Kilku strażników podejrzanych o niedbalstwo lub zdradę zostało zwolnionych ze służby przy galerach. Dzięki temu inni wykonywali swoją pracę bardziej surowo i skrupulatnie. Komisarz więzienia gratulował sobie wyników, nie tracąc czujności i nie popadając w stan mylącego bezpieczeństwa, ponieważ w Tulonie ucieczki były częstsze i łatwiejsze niż w jakimkolwiek innym zakładzie karnym.

Na zegarze Arsenалу wybiło wpół do pierwszej, kiedy pan Bernardon dotarł do Nowego Doku. Nabrzeże było puste. Pół godziny wcześniej głos dzwonu zwołał do pobliskich więzień skazańców pracujących od świtu. Każdy z nich otrzymał swoją rację. Skazani na dożywocie wspięli się na swoje prycze, gdzie strażnik wkrótce ich ponownie zakuł. Tymczasem więźniowie skazani czasowo mogli poruszać się swobodnie po sali. Na gwizdek adiutanta przykucnęli wokół wielkich menażek, zawierających niezmiennie przez cały rok zupełną suszoną bobu.

Prace popołudniowe rozpoczynały się o godzinie pierwszej i trwały aż do ósmej wieczór. Wtedy to sprowadzano skazańców do więzień, gdzie w czasie kilku godzin snu wolno im było w końcu zapomnieć o swoim losie.

II

Korzystając z nieobecności więźniów, pan Bernardon przyjrzał się lokalizacji portu. Widać było, że rzecz interesowała go średnio, bo szybko postarał się znaleźć w pobliżu jakiegoś adiutanta, do którego zwrócił się z bezpośrednimi pytaniami.

– O której godzinie więźniowie wracają do portu?

– O pierwszej – odpowiedział adiutant.

– Są zbierani i rozdzielani do tych samych prac?

– Nie. Tak jest w przypadku zatrudnianych przy konkretnych zajęciach. Zajmują się nimi wtedy pomocnicy majstrów. W warsztatach ślusarskich, powroźniczych, odlewniach, gdzie wymagane są specjalne umiejętności, spotyka się wspaniałych fachowców.

– Zarabiają tam?

– Oczywiście.

– Jak?

– To zależy. Są wynagradzani według stawki godzinowej. Dziennie mogą zarobić od pięciu do dwudziestu centymów, a praca na akord może im przynieść nawet trzydzieści.

– Czy mają prawo wykorzystać te kilka groszy do poprawienia swojego bytu?

– Tak – odrzekł adiutant. – Mogą kupić sobie tytoń, bo mimo zakazu w regulaminie tolerujemy palenie. Za kilka centymów mogą również kupić sobie porcję mięsa czy jarzyn.

– Skazani na dożywocie i na czas określony otrzymują takie samo wynagrodzenie?

– Nie, ci ostatni mają dodatek w wysokości jednej trzeciej zarobku, który zatrzymuje się im aż do wygaśnięcia kary. Otrzymują wtedy całość sumy, co chroni ich przed kompletnym ubóstwem po opuszczeniu galer.

– Tak, tak – odpowiedział roztargnionym głosem pan Bernardon, który wydawał się być pochłonięty swoimi myślami.

– Proszę pana – ciągnął adiutant – oni wcale nie są tacy nieszczęśliwi. Gdyby przez swoje błędy i próby ucieczek nie zaostrozali reżimu, mieliby lepiej niż większość robotników w tym mieście.

– A przedłużanie kary – zapytał Marsylczyk głosem, który, wydawało się, że drży nieco – nie jest chyba jedyną sankcją stosowaną w przypadku próby ucieczki?

– Nie. Otrzymują również chłostę i podwójne kajdany.

– Chłosta?... – powtórzył pan Bernardon.

– ...która polega na biciu po barkach smołowanym sznurem, od piętnastu do sześćdziesięciu uderzeń, w zależności od przypadku.

– I bez wątpienia jakakolwiek ucieczka jest niemożliwa dla skazanego w podwójnym łańcuchu?

– Prawie – odpowiedział adiutant. – Więźniowie są przykuci do podstawy ławy, na której siedzą, i nigdy nie wychodzą. W tych warunkach ucieczka nie jest czymś łatwym.

– To znaczy, że najłatwiej jest uciec w czasie pracy?

– Niewątpliwie. Pary, mimo że są pilnowane przez dozorcę galerników, mają pewną swobodę, której wymaga praca. A spryt więźniów jest tak wielki, że pomimo ostrego nadzoru, w ciągu niecałych pięciu minut potrafią przeciąć najmocniejszy łańcuch. Ponieważ klin zanitowany w ruchomym sworzniu jest za twarde, więc zachowują obręcz, która otacza nogę i przerywają pierwsze ogniwo łańcucha. Wielu skazańców, którzy pracowali w pracowniach ślusarskich, znajduje bez trudu potrzebne narzędzia. Często blaszka ze stali z ich numerem wystarcza im w zupełności. Jeżeli uda im się znaleźć sprężynę z zegarka, to wkrótce słyhać

działo alarmowe. Mają tysiące sposobów, a jeden skazaniec sprzedał nie mniej niż dwadzieścia dwa z tych swoich sekretów, by uchronić się przed karą chłosty.

– Ale gdzie mogą oni chować swe narzędzia?

– Wszędzie i nigdzie. Jeden z więźniów wyciął sobie bruzdy pod pachami i wkładał małe kawałki stali między skórę i mięśnie. Ostatnio skonfiskowałem u jednego ze skazańców słomiany koszyk, którego każde źdźbło zawierało pilniki i maleńkie brzeszczoty!² Proszę pana, nic nie jest niemożliwe dla ludzi, którzy chcą wrócić na wolność!

W tym momencie wybiła pierwsza. Adiutant zasalutował panu Bernardonowi i powrócił na swój posterunek.

Skazańcy wychodzili z więzienia pod strażą dozorców; jedni pojedynczo, inni powiązani po dwóch. Wkrótce potem w porcie zaszumiało od pokrzykiwań, stukotu żelaza i wygrażeń strażników.

W koszarach artylerii, dokąd zawiódł go przypadek, pan Bernardon znalazł wywieszony regulamin karny galer.

“Będzie ukarany śmiercią każdy, kto uderzy strażnika, kto zabije swego towarzysza, kto się zbuntuje lub sprowokuje bunt. Będzie ukarany trzema latami zakucia w podwójny łańcuch więzień skazany na dożywocie, który będzie próbował ucieczki. O trzy lata przedłużona będzie kara skazanemu na określony czas, który popełni to samo przestępstwo oraz przedłużona będzie kara o określony przez sąd okres każdemu skazańcowi, który ukradnie sumę wyższą niż pięć franków.

Zostanie skazany na karę chłosty każdy skazaniec: który rozerwie swe kajdany lub użyje jakiegokolwiek sposobu ucieczki; przy którym zostanie znalezione przebranie; który ukradnie więcej niż pięć franków; który się upije; który będzie uprawiać hazard; który zapali w porcie; który sprzeda lub zniszczy swe rzeczy; który będzie pisał bez zezwolenia; przy którym znajdzie się więcej niż dziesięć franków; który pobije towarzysza; który odmówi pracy lub będzie nieposłuszny”.

Przeczytawszy to, Marsylczyk zamyślił się. Z tego zamyślenia wyrwał go powrót grupy galerników. Port pracował całą parą. Praca wrzała w każdym jego miejscu. Słychać było tu i ówdzie chropawe głosy podmajstrów:

– Dziesięć par do Saint Mandrier!

– Piętnaście skarpetek do powrozów!

– Dwadzieścia par do masztów!

– Wzmocnienie o sześciu czerwonych do basenu portowego!

Wywołani robotnicy kierowali się do wytyczonych miejsc, poganiani przekleństwami adiutantów i, często, ich przerażającymi batami. Marsylczyk obserwował uważnie galerników defilujących przed nim. Jedni zaprzęgali się do ciężko załadowanych wozów, inni przenosili na ramionach ciężkie części wiązań, składali i czyścili drewno budulcowe albo ciągnęli na linach statki.

Skazańcy byli jednakowo ubrani w czerwone kaftany, kamizelki w tym samym kolorze i spodnie z grubego, szarego płótna. Skazani na dożywocie nosili czapkę wełnianą całkowicie zieloną. Niezależnie od ich osobistych zdolności zatrudniani byli przy najcięższych pracach. Podejrzani z powodu ich podstępnych instynktów lub prób ucieczki nosili czapkę zieloną z otoczką szerokiej czerwonej wstęgi. Skazani na czas określony mieli czapki całkiem czerwone, z przypiętą stalową plakietką z wrytym numerem danego więźnia. Do tych należeli ci, których z taką uwagą obserwował pan Bernardon.

Jedni, skuci parami, nosili żelaza o wadze od ośmiu do dwudziestu dwóch funtów. Łańcuch, zaczynający się u stopy jednego więźnia, wznosił się do pasa, gdzie był zaczepiony i dalej szedł do pasa drugiego więźnia, potem do jego stopy. Ci nieszczęśnicy zwani byli dla

zabawy *Kawalerami Girlandy*. Inni nosili tylko jedną obręcz i pół łańcucha o wadze od dziewięciu do dziesięciu funtów, lub nawet jedno tylko oko, zwane *skarpetką*, ważące od dwóch do czterech funtów. Kilku groźnych galerników miało stopy zamknięte w *młotku*, żelazie o kształcie trójkąta, który zawinięty na obu końcach wokół nogi i w specjalny sposób obrabiany, opiera się wszelkim próbom zerwania.

Wypytyując raz więźniów, raz strażników, pan Bernardon obszedł poszczególne fragmenty portu. Przed nim roztaczał się przerażający widok mogący poruszyć serce filantropa. Ale na razie nie wydawało się, by to zauważał. Nie zatrzymując się na ogólnym obrazie wydarzeń, jego oczy przeszukiwały wszystkie kąty, przeglądając więźniów jednego po drugim, jakby szukał w tym smutnym tłumie kogoś, kto wcale na niego nie czeka. Ale to poszukiwanie wydawało się być daremnym i chwilami niespokojny gość nie mógł opanować gestu zwątpienia.

Przypadek skierował jego kroki w stronę warsztatów okrętowych. Nagle stanął w miejscu a jego oczy zatrzymały się na jednym z mężczyzn przywiązanych do kabestanów. Z miejsca gdzie stał, mógł widzieć numer tego galernika, numer 2224, wygrawerowany na plakietce ze stali przychepionej do czerwonej czapki więźnia skazanego czasowo.

III

Numerem 2224 był człowiek solidnie zbudowany, w wieku około trzydziestu pięciu lat. Jego twarz była szczerą i wyrażała jednocześnie inteligencję i rezygnację. Nie rezygnację zwierzęcia, któremu poniżająca praca wyjadła mózg, ale przemyślaną zgodę na nieuniknione nieszczęście, w żaden sposób nie przystającą do energii wewnętrznej, jaka przetrwała, a o której świadczyła twardość jego spojrzenia.

Połączony był on z jakimś starym skazańcem o niskim czole, kryjącym zapewne tylko nędzne myśli, który, twardszy, bardziej zezwierzęcony, kontrastował z nim mocno.

Dwójki stawiały maszty nowo powstającego statku, a żeby wyznaczyć takt swego wysiłku, śpiewały piosenkę o Wdowie. Wdowa to gilotyna, wdowa po wszystkich tych, których zabija.

O,o,o! Jean-Pierre, o!

Umyj się!

Oto, oto golibroda! O!

O,o,o! Jean-Pierre, o!

Oto wózek kata!

A,a,a!

Zetnij szyję!

Pan Bernardon cierpliwie odczekał, aż prace zostaną przerwane. Para, która go interesowała, skorzystała z przerwy, by odpocząć. Starszy z dwóch więźniów rozciągnął się jak długi na ziemi, młodszy stał, oparłszy się o łapy kotwicy.

Marsylczyk podszedł do niego.

– Przyjacielu – powiedział – chcę z panem porozmawiać.

Aby zbliżyć się do rozmówcy numer 2224 musiał pociągnąć łańcuch, co wyrwało starego więźnia z drzemki.

– Hej, co tam! – powiedział. – Uspokoisz się!?! Jeśli będziesz się ruszał ścisną nas *liskami!*

– Zamknij się, Romain. Chcę pogadać z tym panem.

– O nie, mówię ci!

– Popuść trochę z końca twój łańcuch.

– Nie! Ciągnę swoją połowę.

– Romain, Romain!... – powiedział numer 2224, poczynając się już gniewać.

– Dobra, zagrajmy o to – powiedział Romain, wyciągając z kieszeni obrzydliwie brudne karty.

– W porządku – odpowiedział młodszy skazaniec.

Łańcuch dwóch galerników zawierał osiemnaście sześciocalowych³ ogniów. Każdy z galerników miał ich dziewięć, co w konsekwencji dawało odpowiedni zasięg swobody.

Pan Bernardon zbliżył się do Romaina.

– Kupuję pańską część łańcucha – powiedział.

– Gotówką?

Kupiec wyjął z kieszy pięć franków.

– Pięciofrankówka! – wykrzyknął stary więzień. – To prawda!

Chwycił pieniądze, które zniknęły nie wiadomo gdzie, i, rozciągnąwszy swe ogniwa, które zwinął przed sobą, wrócił na swoje miejsce i położył się plecami do słońca.

– Czego pan chce ode mnie? – spytał Marsylczyka numer 2224.

Ten, długo przypatrzwszy mu się, rzekł:

– Nazywa się pan Jean Morénas. Został pan skazany na dwadzieścia lat galery za morderstwo i kradzież kwalifikowaną. Do teraz odbył pan połowę swej kary.

– To prawda – powiedział Jean Morénas.

– Jest pan synem Jeanne Morénas z miejscowości Sainte Marie des Maures.

– Ta biedna kobiecina, moja matka! – westchnął smutno skazaniec. – Niech mi pan o niej już nie mówi! Ona umarła!

– Dziewięć lat temu – powiedział pan Bernardon.

– To też prawda. Kim pan jest, że tak dobrze zna pan moje sprawy?

– Czy to dla pana takie ważne? – odrzekł pan Bernardon. – Najważniejsze jest to, co chcę dla pana zrobić. Niech pan słucha i uważajmy, aby nie widziano nas zbyt długo razem. Za dwa dni proszę się przygotować do ucieczki. Proszę kupić milczenie pańskiego towarzysza. Niech pan mi to przyrzeknie, a ja zachowam wszystko w tajemnicy. Kiedy będzie pan gotów, otrzyma pan konieczne instrukcje. Do zobaczenia!

Marsylczyk dalej spokojnie kontynuował swój obchód, pozostawiwszy skazańca zaskoczony tym, co usłyszał. Obszedł kilka razy Arsenał, zwiedził różne warsztaty i wkrótce powrócił do powozu, którego konie szybkim klusem uniosły go w dal.

IV

Piętnaście lat przed dniem, w którym pan Bernardon przeprowadził z więźniem o numerze 2224 tę krótką rozmowę w więzieniu w Tulonie, rodzina Morénaśów, składająca się z wdowy i dwóch synów: Pierre'a, mającego wówczas dwadzieścia pięć lat i Jeana, młodszego o lat pięć, żyła szczęśliwie w miasteczku Sainte Marie des Maures.

Obaj młodzi wykonywali zawód stolarza i, tak na miejscu, jak w okolicach, pracy im nie brakowało. Obaj byli jednakowo zręczni i jednakowo cenieni.

Nierówna natomiast była pozycja, jaką zajmowali oni w społeczeństwie i trzeba przyznać, że ta różnica w traktowaniu była uzasadniona. Kiedy młodszy oddany pracy i uwielbiający swą matkę mógł służyć za przykład wszystkim synom, starszy od czasu do czasu pozwalał sobie na wybryki. Gwałtowny, wybuchowy, często po wypiciu był bohaterem kłótni czy wręcz bijatyk, a jego język więcej mu jeszcze czynił szkód niż uczynki. Lekkomyślnie wszędzie rozpowiadał, że przeklina swój nędzny żywot w tym zapadłym miejscu pośród gór i ogłaszał wszem i wobec, że pragnie pójść gdzie indziej zdobyć łatwo i szybko fortunę. Nie trzeba było więcej, aby wzbudzić nieufność w zachowawczych duszach wieśniaków. Jednak zarzuty, jakie można byłoby mu zarzucić nie były zbyt ciężkie. Toteż, obdarzając jego młodszego brata większą sympatią, zadowalano się zazwyczaj nazywaniem go gorącą głową, człowiekiem zdolnym do czynienia zarówno dobra jak i zła, w zależności od sytuacji, jakie niesie życie.

Rodzina Morénaśów była więc szczęśliwa, mimo tych lekkich chmur. Swe szczęście zawdzięczała doskonałej jedności. W sumie żaden z synów, żaden z chłopców nie zasługiwał na zbyt poważną krytykę. Kochali się obaj bracia z całego serca i gdyby tylko ktoś znieważył jednego z nich, miałby dwóch przeciwników w walce.

Zniknięcie starszego syna stało się pierwszym nieszczęściem, jakie dotknęło rodzinę Morénaśów. W dniu, kiedy ukończył dwadzieścia pięć lat, wyszedł jak zazwyczaj do pracy, która czekała na niego w sąsiedniej wsi. Wieczorem matka i brat bezskutecznie oczekiwali jego powrotu – Pierre Morénaś nie wrócił.

Co mu się stało? Czy wszczął jedną ze swych zwyczajowych bójek? Czy stał się może ofiarą przestępstwa? Czy chodzi tylko o zwykłą ucieczkę? Żadne z tych pytań nie doczekało się nigdy odpowiedzi.

Rozpacz matki była przejmująca. Potem czas zrobił swoje i powoli życie powróciło na swój spokojny tor. Stopniowo, wspierana miłością drugiego syna, pani Morénaś przyjęła postawę zrezygnowanej melancholii, która jest jedyną dozwoloną radością dla serc zdruzgotanych nieszczęściem.

W ten sposób minęło pięć lat, podczas których oddanie synowskie Jeana Morénaśa ani na moment nie poddane zostało próbie. Pod koniec tych pięciu lat, w momencie gdy chłopiec osiągnął z kolei dwadzieścia pięć lat, drugie straszliwe nieszczęście spadło na tę tak okrutnie doświadczoną rodzinę.

Kilka metrów od domku, w którym mieszkali Morénaśowie, miał jedyną oberżę w tej mieścinie rodzony brat wdowy, Alexandre Tisserand. Z wujem Sandrem, jak miał zwyczaj nazywać go Jean, mieszkała jego chrześnica Maria. Dawno temu, po śmierci rodziców dziewczynki, wziął ją na wychowanie. Kiedy już weszła do oberży, nigdy stamtąd nie wychodziła. Pomagając swemu dobroczyńcy i ojcu chrzestnemu w utrzymaniu skromnego przybytku, żyła tam, przechodząc kolejno etapy dzieciństwa i dojrzewania. Kiedy Jean Morénaś osiągnął swe dwadzieścia pięć lat, ona miała osiemnaście i z dziewczynki stała się dziewczyną równie delikatną i miłą, jak ładną.

Ona i Jean dorastali obok siebie. Razem bawili się w gry dziecięce, a stara oberża tysiące razy rozbrzmiewała ich krzykami. Potem stopniowo zabawy zmieniły swój charakter, w tym samym czasie zmieniała się powoli, przynajmniej w sercu Jeana, dziecięca przyjaźń.

Nadszedł dzień, kiedy Jean pokochał jak narzeczoną tę, którą kochał dotychczas jak ukochaną siostrę. Kochał ją tak, jak kazała mu jego uczciwa natura, tak jak kochał swą matkę, z tym samym wyrzeczeniem wszystkiego, z tym samym uniesieniem, z podobnym oddaniem się tej miłości.

Zachował to jednak dla siebie, nie powiedział nic o swoich zamiarach tej, którą pragnął poślubić. Ale, czego zbyt nie zrozumiał, zaangażowanie dziewczyny nie było takie jak jego. Gdy u niego uczucie braterskie stopniowo przeradzało się w miłość, serce Marii pozostało takie samo. Z tym samym spokojem jej oczy patrzyły na towarzysza dzieciństwa, bez jakiegokolwiek nowego drgnienia, mogącego zmącić czystość jej uczucia.

Świadom tego Jean milczał i trzymał w sekrecie swą tajemną nadzieję, co powodowało wielki ból wuja Sandre'a, który, mając wielki szacunek dla swego siostrzeńca, byłby szczęśliwy, oddając mu równocześnie chrześnicę i te kilka groszy zebranych przez te czterdzieści lat upornej pracy. Jednak i on nie tracił nadziei. Wszystko mogło się przecież ułożyć, Maria była jeszcze bardzo młoda. Z wiekiem może docenić zalety Jeana Morénasa a ten, zachęcony, wypowie wtedy swą prośbę i zostanie przychylnie przyjęty.

Tak miały się sprawy, gdy nieprzewidziany dramat poruszył Sainte Marie des Maures. Pewnego ranka znaleziono wujka Sandre'a martwego, uduszonego przed kontuarem, którego szuflada została opróżniona do ostatniego grosika. Kto był sprawcą tej śmierci? Sprawiedliwość poszukiwałaby go długo na próżno, gdyby nie opisał go sam zamordowany. W zaciśniętej dłoni trupa znaleziono pomięty papier, na którym przed śmiercią, Alexandre Tisserand napisał te słowa: "To mój siostrzeniec, który...". Nie miał siły napisać więcej, a śmierć zatrzymała jego dłoń w środku oskarżającego zdania.

Wystarczało to w zupełności. Alexandre Tisserand miał tylko jednego siostrzeńca, nie można było się więc mylić.

Bez trudu odtworzono przestępstwo. Poprzedniego dnia wieczorem nie było nikogo w oberży. Morderca musiał przyjść z zewnątrz i musiał być znany ofierze, ponieważ tak zazwyczaj nieufny oberżysta otworzył bez oporu. Było też oczywiste, że morderstwo zostało popełnione wcześniej, ponieważ Alexandre Tisserand był jeszcze ubrany. Sądząc po nie dokończonych rachunkach, pozostawionych na kontuarze, był on w trakcie sprawdzania swego utargu w chwili, gdy nadszedł przybysz. Idąc otworzyć, zabrał odruchowo ołówek, którym pisał, a który posłużył mu następnie do opisanego swego zabójcy.

A ten, ledwie wszedł, chwycił swą ofiarę za szyję i ją ścisnął. Dramat musiał trwać kilka minut. Nie było żadnego śladu walki i Maria w swym pokoju, co prawda nieco odległym, niczego nie słyszała.

Uważając oberżystę za martwego, morderca opróżnił szufladę i dokładnie przeszukał sypialnię, o czym świadczyły odwrócone łóżko i przegrzebane szafy. Po zabraniu łupu szybko uciekł, nie pozostawiając żadnego śladu, który mógłby go zdemaskować.

Przynajmniej tak mu się wydawało. Ale nędznik nie liczył się ze sprawiedliwością immanentną. Ten, który był według niego martwy, żył jeszcze i odzyskał na kilka minut świadomość. Miał siłę skreślić te cztery słowa, które pokierowały poszukiwaniami, a które ostatni spazm agonii tragicznie przerwał.

W wiosce wszyscy byli strasznie zaskoczeni. Jean Morénas, ten dobry robotnik, dobry syn – mordercą! Trzeba było jednak przyjąć to za fakt, bo oskarżenie zmarłego było zbyt formalne, by można w nie wątpić. Takie było przynajmniej zdanie wymiaru sprawiedliwości. Mimo protestów Jean Morénas został zatrzymany, osądzony i skazany na dwadzieścia lat galii.

Ten potworny dramat był gwoździem do trumny dla jego matki. Od tego dnia zaczęła podupadać bardzo szybko. Po niecałym roku poszła do grobu za swym zamordowanym bratem.

Ten bezlitosny los kazał jej przedwcześnie umrzeć. Zmarła w chwili, gdy po tylu doświadczeniach miała jej być dana radość. Zaledwie ziemia okryła jej trumnę, gdy jej starszy syn Pierre powrócił do swej wioski.

Skąd przybył? Co robił w czasie tych sześciu lat nieobecności? Jakie krainy przebył? W jakim stanie wracał do wioski? Nie wyjaśniał tego nikomu, a bez względu na ogrom ciekawości publicznej nadejście przecież taki dzień, kiedy, ze znużenia, przestanie się mu stawiać te pytania.

Poza tym, gdyby nie miał szczęścia, w całym znaczeniu tego słowa, wydawał się przynajmniej wracać nie całkiem przegrany. Wykonywał tylko od czasu do czasu swój poprzedni zawód stolarza i w ciągu dwóch lat żył niemal jak rentier⁴ w Saint Marie des Maures, rzadko tylko wyjeżdżając do Marsylii, gdzie, mówiono, wzywały go jego interesy.

W czasie tych dwóch lat, najbardziej znanego okresu jego życia, mieszkał nie w domu, który odziedziczył po matce, ale w oberży swego wuja Sandre'a, która stała się własnością Marii, która to po tragicznej śmierci swego ojca chrzestnego zarządzała nią z pomocą służącego.

Toteż, jak było to do przewidzenia, pomiędzy tymi młodymi ludźmi zawiązało się uczucie. Czego nie mogła dokonać cicha energia Jeana, dokonały brutalny nieco charakter i swada Pierre'a. Wzrastającej jego miłości odpowiedziała podobna miłość Marii. Dwa lata po śmierci wdowy Morénas, trzy po zabójstwie wuja Sandre'a i skazaniu mordercy, miał miejsce ślub dwojga młodych.

Uplynęło siedem lat, w czasie których urodziło się troje dzieci, ostatnie zaledwie sześć miesięcy przed dniem, w którym zaczyna się to opowiadanie. Maria, szczęśliwa żona i matka, miała wtedy za sobą siedem lat idylli.

Byłaby mniej szczęśliwa, gdyby mogła czytać w sercu swego małżonka, gdyby знаła łążęgowskie życie, jakie w ciągu sześciu lat wiódł ten, z którym połączyła swój los: od rabunku do oszustwa, od oszustwa do zwykłej kradzieży. A zwłaszcza gdyby wiedziała, jaki udział miał on w śmierci jej chrzestnego.

Alexandre Tisserand powiedział prawdę oskarżając swego siostrzeńca, ale jakże było fatalnym to, że drgawki śmiertelne zaburzyły jego umysł i rękę, przeszkodziły w lepszym sprecyzowaniu faktu! Faktycznie autorem zabójstwa był jego siostrzeniec, ale tym siostrzeńcem nie był Jean, tylko Pierre Morénas.

Bez pieniędzy, na skraju nędzy, Pierre powrócił nocą do Sainte Marie des Maures w intencji całkiem jasnej – zabrania pieniędzy swemu wujowi. Opór ofiary spowodował, że złodziej stał się mordercą.

Po rzuceniu na ziemię oberżysty przystąpił do zwyczajnego mu przeszukania i następnie uszedł w noc. O śmierci wuja, który, wydawało mu się tylko, stracił przytomność, o aresztowaniu i skazaniu brata nic nie wiedział. Toteż całkiem spokojnie rok później po swej zbrodni, widząc, że znika zawartość kiesy, powrócił do swej miejsciny, nie wątpiąc, że po tak długim czasie łatwo otrzyma wybaczenie. I wtedy dowiedział się o śmierci wuja i matki oraz o skazaniu brata.

Z początku był tym przybity. Położenie młodszego brata, z którym przez dwadzieścia lat łączyło go tak prawdziwe i głębokie uczucie, stało się dlań źródłem okrutnych wyrzutów sumienia. Cóż jednakowoż mógłby on zrobić, by zmienić los? Mógł tylko wyjawić prawdę, przyznać się do winy i przejąć miejsce w więzieniu niesłusznie skazanego niewinnego brata.

Pod wpływem czasu żal i wyrzuty sumienia zelzały. Miłość dokonała reszty.

Ale sumienie dało znać o sobie, kiedy życie rodzinne przyjęło swój stały spokojny rytm. Z dnia na dzień wspomnienie niewinnego więźnia coraz mocniej rysowało się w umyśle nie ukaranego winnego. Lata dzieciństwa przypominały mu się bez przerwy, z siłą coraz większą i nadszedł dzień, kiedy Pierre Moréas zaczął marzyć o sposobie uwolnienia brata z jarzma, w które sam go zamknął. Poza tym nie był już żebrakiem pozbawionym wszystkiego, który niegdyś opuścił Sainte Marie des Maures, by szukać w szerokim świecie nieodszukiwalnego szczęścia. Teraz żebrak był właścicielem, największym w tym miasteczku, a pieniędzy mu nie brakowało. Czy te pieniądze nie mogłyby więc posłużyć uwolnieniu go od wyrzutów sumienia?

V

Jean Morénas powiódł wzrokiem za panem Bernardon. Nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Jak to możliwe, że człowiek ten zna tak dobrze różne zdarzenia z jego życia? Była to zagadka bez rozwiązania. Jednak, bez względu na to, czy rozumiał o co chodzi, czy nie, trzeba było w każdym razie przyjąć ofertę, jaka mu została złożona. Zdecydował się więc na przygotowania do ucieczki.

Przede wszystkim musiał poinformować swego towarzysza o tym, o czym myślał. Nie istniał żaden sposób, by można było tego nie zrobić. Łańcuch, który ich łączył, nie mógł być przerwany tak, aby tego nie zauważył. Być może Romain chciałby skorzystać z okazji, co pomniejszyłoby szanse na sukces ucieczki.

Ponieważ stary więzień miał jeszcze nie więcej niż osiemnaście miesięcy do odsiedzenia w więzieniu, Jean usiłował wykazać mu, że przy tak małym wyroku nie ma sensu ryzykować zwiększenia kary. Ale Romain, który wyraźnie widział w tym jakieś pieniądze, nie miał zamiaru słuchać rozsądku i uparcie odmawiał poddania się kombinacjom swego towarzysza. Jednak kiedy ten począł mówić o tysiącu franków płatnych od razu i równej temu sumie po wyjściu starego z więzienia, Romain zaczął słuchać i podsuwać pomysły towarzyszowi niedoli.

Ustalwszy ten punkt pozostało tylko wymyślić sposób ucieczki. Najważniejszym było wyjść niespostrzeżenie z portu, a potem uciec przed wyrobionym wzrokiem wartowników i strażników. Będąc już we wsi, zanim jeszcze spostrzegą się brygady żandarmerii, łatwo jest zbałamucić wieśniaków, a co do tych, którym nadzieja na premię pozwoli lepiej widzieć, nie oprą się oni na pewno przynęcie wyższej jeszcze sumy.

Jean Morénas postanowił uciec nocą. Mimo, że skazany został na czas określony, nie został umieszczony w jednym z tych starych statków przekształconych na pływające więzienia. Wyjątkowo mieszkał on w jednym z więzień znajdujących się na lądzie. Wyjść stamtąd było trudno. Toteż nie należało tam wchodzić wieczorem. Reda o tej porze była właściwie prawie pusta, toteż nie byłoby niemożliwym przepłynięcie jej wplaw. Jean Morénas nie mógł myśleć o opuszczeniu Arsenału inaczej jak morzem. A kiedy będzie już z powrotem na lądzie, to do jego protektora należeć będzie przyjście mu z pomocą.

Zdecydowawszy się po przemyśleniach liczyć na nieznane, postanowił czekać na rady nieznanego wybawcy, oraz na upewnienie się, że obietnice, które poczynił Romainowi, będą mogły być spełnione. Wskutek zniecierpliwienia czas płynął mu bardzo powoli.

Dopiero dwa dni później pojawił się jego tajemniczy przyjaciel.

– A więc? – spytał pan Bernardon.

– Wszystko ustaliłem, proszę pana. A ponieważ chce pan mi być pomocnym, mogę pana zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

– Czego pan potrzebuje?

– Obiecałem dwa tysiące franków memu towarzyszowi, w tym tysiąc przy jego wyjściu z więzienia...

– Będzie je miał. Dalej?...

– I tysiąc natychmiast.

– Oto one – powiedział pan Bernardon, dając wymaganą sumę, którą stary więzień natychmiast ukrył.

– Oto – podjął Marsylczyk – złoto i brzeszczot należący do najlepiej hartowanych. Czy to wystarczy panu do przecięcia żelaza?

– Tak, proszę pana. Gdzie się z panem spotkam?

– Na przylądku Brun. Znajdzie mnie pan na brzegu, w głębi zatoki zwanej Portem Mejean. Czy pan ją zna?

– Tak, proszę liczyć na mnie.

– Kiedy pan rusza?

– Dziś wieczorem, wpław.

– Czy jest pan dobrym pływakiem?

– Pierwszej klasy.

– A więc wszystko dobrze się układa. Zatem do wieczora...

– Do wieczora!

Pan Bernardon odszedł od dwóch więźniów, którzy powrócili do pracy. Nie zajmując się już nimi więcej, Marsylczyk długo jeszcze spacerował, stawiając jakieś pytania to tym, to innym. W końcu wyszedł z Arsenалу, bez zwracania na siebie uwagi.

VI

Jean Morénas robił wszystko, by wyglądać na najspokojniejszego z więźniów. Ale mimo jego wysiłków ktoś bardziej uważny spostrzegłby jego niezwykle podniecenie. Miłość do wolności powodowała bicie serca a jego cała wola była niezdolna, aby opanować tę gorączkową niecierpliwość. Jakżeż daleko była ta powierzchowna rezygnacja, którą przez dziesięć lat Jean bronił się przed rozpaczą!

Aby przez chwilę ukryć swą nieobecność przy powrocie wieczorem, wymyślił, by zastąpił go u boku towarzysza niedoli jego kolega. Skazaniec *skarpeta* – zwany tak od lekkiej obręczy, jaką galernicy tej kategorii noszą na nogach – mający już tylko kilka dni do odsiadki w więzieniu i dlatego odłączony od pary, wszedł w układ z Jeanem za trzy sztuki złota i zgodził się przywiązać do stopy na kilka minut łańcuch Jeana w momencie, gdy zostanie on przecięty.

Nieco po siódmej wieczorem Jean wykorzystał odpoczynek, by przepiłować swe żelaza. Dzięki doskonałości brzeszczotu, mimo że obręcz była wyjątkowo dobrze hartowana, poradził sobie szybko z tą robotą. W momencie wejścia do sal skazaniec *skarpeta* przejął jego miejsce i Jean wcisnął się za stertę drewna.

Niedaleko od niego znajdował się wielki kocioł przeznaczony dla statku będącego w budowie. Ten olbrzymi zbiornik stał na podstawie, a otwory jego pieców dawały uciekinierowi niezrównane schronienie. Korzystając z okazji, wślizgnął się do środka bez hałasu, zabierając kawałek krawędziaka, ⁵ który pośpiesznie wydrążył w formę czepka i wywiercił w nim dziury. Potem z wytężonym wzrokiem i słuchem, z napiętymi nerwami – czekał.

Zapadła noc. Niebo pokryte chmurami pogłębiało ciemność, co pomagało Jeanowi Morénasowi. Po drugiej stronie redy półwysp Saint Mandrier zniknął w ciemnościach.

Kiedy Arsenał opustoszał, Jean wyszedł z ukrycia i, ostrożnie się skradając, skierował swe kroki do basenów warsztatów okrętowych. Kilku strażników jeszcze chodziło tam i z powrotem. Czasami Jean zatrzymywał się i kładł płasko na ziemi. Na szczęście mógł zerwać kajdany, co pozwoliło mu na poruszanie się bez szmeru.

Doszedł w końcu do wody na brzeg Darse Neuve, niedaleko od wejścia wychodzącego na redę. Ze swoim czepkiem z drewna w dłoni ześlizgnął się po jednej z lin i zanurzył w falach.

Kiedy wypłynął na powierzchnię, natychmiast okrył głowę tym dziwacznym nakryciem i zniknął w ten sposób z oczu. Otwory uprzednio wykonane pozwalały mu na utrzymanie właściwego kierunku. Gdyby go zobaczono, wzięto by go za dryfującą boję.

Nagle zagrzmiało działo.

“To zamykają port” – pomyślał Jean Morénas.

Rozległ się drugi, potem trzeci wystrzał.

Nie można się było mylić, to było działo alarmowe. Jean zrozumiał, że jego ucieczka się wydała. Unikając starannie zbliżania się do statków i łańcuchów kotwic, zbliżył się do małej redy od strony prochowni Millau. Morze było nieco wzburzone, ale zdeterminowany pływak czuł się na siłach je przewyciężyć. Jego ubranie, przeszkadzające mu w ruchach, porzucone zostało pływowi morza. Zachował jedynie sakiewkę złota przywiązaną do piersi.

Bez trudu dotarł na środek małej redy. Oparłszy się na jednej z żelaznych boi zwanych *martwymi ciałami*, zdjął ostrożnie chroniący go czeppek, i wciągnął głęboko powietrze.

– Uf! – powiedział do siebie. – Ten spacer to tylko część przyjemności, jakie mnie jeszcze czekają. Na pełnym morzu nie będę miał się czego obawiać, ale będę musiał przebyć przesmyk, gdzie niezła ilość statków przepływa z Grosse Tour do Fort Aiguillette. Chyba

tylko diabeł może mi pomóc im uciec... Ale, na razie, muszę się zorientować w sytuacji; przecież nie rzucę się prosto w paszczę lwa.

Mając za punkty odniesienia prochownię Lagoubran i fort Saint Louis, Jean ustalił dokładnie swą pozycję i następnie wrócił do wody.

Z głową osłoniętą aparatem płynął bardzo ostrożnie. Szum coraz chłodniejszego wiatru mógł przeszkodzić w słyszeniu innych, bardziej niebezpiecznych dźwięków, toteż Jean cały czas miał napiętą uwagę i bez względu na to, jak bardzo ważne było, by opuścił małą redę, płynął powoli, żeby nie obdarzać tej fałszywej boi nieprawdopodobną prędkością.

Upłynęło pół godziny. Według niego powinien być blisko przejścia, kiedy z lewej strony dał się słyszeć hałas wiosła. Zatrzymał się i nastawił uszu.

- Hej! – krzyknięto z jednej z łodzi. – Jest co nowego?
- Nic nowego! – odpowiedziano z innej łodzi, na prawo od uciekiniera.
- Nigdy go nie odnajdziemy!
- A czy to pewne, że uciekł morzem?
- Bez wątpienia! Znaleźliśmy jego ubranie!
- Jest dość ciemno na to, by nas wywiódł aż do Wielkich Indii!
- Naprzód, płynmy równo!

Łodzie się rozłączyły. Kiedy tylko wystarczająco się oddaliły, Jean zaryzykował kilka mocnych pchnięć ramionami i szybko popłynął w stronę przesmyku.

W miarę zbliżania się doń wokół Jeana zwiększała się ilość krzyków, łodzie przepływały redę, koncentrując widocznie w tym miejscu swą straż. Nie zatrwając się ilością nieprzyjaciół, Jean kontynuował swą drogę.

Kilku strażników krążyło jeszcze w łodziach tu i ówdzie – licząc na to, że uda im się dopaść zbiega. Jean postanowił sobie, że prędzej się utopi niż pozwoli się złapać, a myśliwi będą mieć go tylko martwego.

Wkrótce Grosse Tour i Fort Aiguillette zarysowały się przed jego oczami.

Na tamie i brzegu poruszały się szybko pochodnie; brygady żandarmerii były już na nogach. Uciekinier zwolnił swój ruch i dał się pchać falom i zachodniemu wiatrowi, które kierowały go na pełne morze.

Światło jednej z pochodni nagle oświetliło fale i Jean spostrzegł cztery łodzie, które go otaczały. Nie poruszał się już, ponieważ najmniejszy nawet ruch mógł go zgubić.

- Hej, tam w łodzi! – krzyknięto z jednej barki.
- Nic!
- W drogę!

Jean odetchnął. Łodzie oddalały się. Najwyższy czas. Były tylko o dziesięć sążnió od niego, a ich bliskość zmuszała go do płynięcia w pozycji pionowej.

- Ty, co tam jest na dole?! – krzyknął jakiś marynarz.
- Co? – odpowiedziano.
- Ten czarny pływający punkt!
- Nic, to tylko dryfująca boja.
- Dobra! Wyłówcie ją!

Jean był gotów zanurkować. Ale dał się słyszeć gwizdek mata.

– Płyńcie dziatki! Mamy co innego do roboty niż wyławianie kawałka drewna... Naprzód wszyscy!

Wiosła uderzyły wodę z głośnym pluskiem. Nieszczęśnik odzyskał odwagę. Jego podstęp nie został odkryty. Wraz z nadzieją powróciły mu siły i podjął znów drogę w stronę fortu Aiguillette, którego ciemna sylwetka rysowała się przed nim.

Nagle znalazł się w głębokich ciemnościach. Jakiś kształt nieprzejrzysty zasłonił mu widok fortu. Była to jedna z łodzi, która, płynąc całą szybkością, trąciła go. Przy uderzeniu jeden z marynarzy przechylił się przez burtę.

– To boja – powiedział.

Łódź zaczęła płynąć dalej. Na nieszczęście jedna z burt uderzając w fałszywą boję, przewróciła ją. Zanim uciekinier mógł pomyśleć o zniknięciu jego ogolona głowa pokazała się nad wodą.

– Mamy go! – krzyknęli marynarze. – Hej tam!

Jean zanurkował i kiedy gwizdki wzywały ze wszystkich stron rozproszone łodzie, więzień lawirował od strony plaży Lazaretu. Oddalił się w ten sposób od miejsca spotkania, ponieważ plaża ta znajduje się na prawo od wejścia do wielkiej redy, gdy tymczasem przylądek Brun wysuwa się na lewo. Miał on jednak nadzieję, że zmyli swych prześladowców, kierując się w stronę najmniej przypuszczalną dla swej ucieczki.

Wyznaczone przez Marsylczyka miejsce jednak powinno być osiągnięte. Po kilku pchnięciach ramion w przeciwnym kierunku Jean Moréas wrócił na swoją trasę. Łodzie krążyły wokół niego. Bardzo często musiał nurkować, aby nie być zauważonym. W końcu jego sprytne manewry zmyliły pościg i udało mu się oddalić w dobrym kierunku.

Czy jednak nie było za późno? Zmęczony tą długą walką z ludźmi i warunkami Jean czuł się zwyciężony. Tracił siły. Wielokrotnie zamykały się mu oczy a jego głowa wypełniała się zawrotami. Po wielokroć też wiotczały mu ręce, a stopy opadały ciężko ku głębinie...

Jakim cudem osiągnął jednak ląd? Sam nie mógł tego zrozumieć. A jednak dotarł, bowiem nagle poczuł twardą ziemię. Podniósł się, zrobił kilka niepewnych kroków, obrócił się wokół własnej osi i upadł zemdłony, ale już poza zasięgiem fal.

Kiedy odzyskał świadomość, jakiś człowiek pochylał się nad nim i przystawiał mu do zaciśniętych warg szyjkę manierki, z której wypływały krople wódki.

VII

Kraina rozciągająca się na wschód od Tulonu, najeżona lasami i górami, poprzecinana wąwozami i strumieniami, dawała uciekinierowi wiele szans na ratunek. Teraz, kiedy postawił nogę na ziemi, mógł mieć nadzieję na całkowite odzyskanie wolności. Upewniwszy się co do tego, Jean Morénas poczuł odradzającą się ciekawość, jaką wzbudzał w nim ten hojny protektor. Nie mógł odgadnąć, jaki on miał w tym cel. Czy Marsylczyk potrzebował energicznego zawadiaki, zdecydowanego na wszystko, otwartego, i dlatego przyszedł wyszukać takiego w więzieniu? W takim razie przeliczył się, ponieważ Jean Morénas był zdecydowany absolutnie odrzucić jakąkolwiek podejrzaną propozycję.

– Lepiej się pan czuje? – spytał pan Bernardon po chwili danej uciekinierowi na powrót do sił. – Czy ma pan siłę, by iść?

– Tak – odpowiedział Jean, podnosząc się.

– W takim razie niech się pan ubierze w ten ubiór wieśniaka, który przyniosłem dla pana. Potem w drogę! Nie mamy nawet minuty do stracenia!

Była jedenasta w nocy, kiedy dwaj mężczyźni weszli do wsi, unikając bitych dróg, wskakując do fos i rowów, kiedy tylko usłyszeli hałas kroków lub turkot wozu w ciszy. Mimo, iż przebranie uciekiniera powodowało, że był nierozpoznawalny, obawiali się zbyt wytężonej uwagi innych, ponieważ strój prowansalski, jaki Jean przywdział, mógł mieć coś nienaturalnego.

Poza brygadami żandarmerii, które od pierwszego wystrzału działa alarmowego były na nogach, Jean Morénas mógł obawiać się pierwszego lepszego przechodnia. Troska o własne bezpieczeństwo oraz obietnica wysokiej nagrody, wyznaczonej przez rząd za ujęcie zbiegłego więźnia, wzmagały ostrość wzroku chłopów, szybkość ich nóg, siłę ich ramion. Toteż każdy uciekinier ryzykuje mocno rozpoznanie, tak przez to, że przyzwyczajony do ciężaru żelaza ciągnie nieco nogi, jak i przez to, że zdradliwy przestרח występuje na jego twarzy.

Po trzech godzinach marszu dwaj mężczyźni zatrzymali się na znak pana Bernardona. Wyjął on z sakwy, którą niósł na ramieniu, nieco jedzenia, które zostało natychmiast pochłonięte pod osłoną gęstego żywopłotu.

– Proszę się teraz przespać – powiedział Marsylczyk, gdy tylko ten krótki posiłek dobiegł końca. – Ma pan przed sobą długą drogę i trzeba odzyskać siły.

Jeanowi nie trzeba było powtarzać zaproszenia – wyciągnąwszy się na ziemi, zapadł w twarde, kamienny sen.

Dzień już wstał, gdy pan Bernardon go obudził. Natychmiast obaj podjęli marsz. Nie chodziło już o przemykanie się polami. Nie kryli się, ale nie pokazywali się zbyt blisko, nie uciekali przed spojrzeniami, ale nie dawali się oglądać ze zbyt bliska, szli głównymi drogami – taki był przynajmniej plan.

Pan Bernardon i Jean Morénas szli już od bardzo długiego czasu, kiedy Jeanowi wydało się, że słyszy tętent kopyt wielu koni.

Wszedł na pagórek, by wyjrzeć na drogę, ale zakręt tejże przeszkadzał mu widzieć cokolwiek. Jednak nie mógł się mylić. Leżąc z uchem przy ziemi usiłował rozpoznać hałas, który go zaniepokoił.

Zanim powstał, pan Bernardon szybko ruszył ku niemu. Jean poczuł, jak jedną zaledwie ręką zakneblował go i ciasno powiązał.

W tym samym momencie dwaj żandarmi na koniach pojawili się na drodze. Podjechali do pana Bernardona, który mocno trzymał swego ogłupiałego więźnia. Jeden z żandarmów zapytał Marsylczyka:

– Hej, człowieku! Co to znaczy?

– To jest zbiegły galernik, żandarmie, galernik, którego właśnie ująłem – odrzekł pan Bernardon.

– Ach! Ach! – powiedział żandarm – To ten, który uciekł tej nocy?

– Możliwe. W każdym razie, ten czy inny, mam go...

– Będzie dla ciebie dobra nagroda, kolego!

– Nie odmówię, nie mówiąc, że jego łachy nie należą do galer. Dostanę je dodatkowo.

– Czy potrzebujesz naszej pomocy? – spytał żandarm

– Na Boga, nie! Jest solidnie skrepowany, doprowadzę go sam bez problemu!

– To lepiej – odpowiedział żandarm. – Do widzenia, życzę szczęścia!

Żandarmi oddalili się. Kiedy zniknęli, pan Bernardon zatrzymał się w rowie na poboczu drogi. W jednej chwili więzy Jeana Morénasa opadły.

– Jest pan wolny – powiedział mu towarzysz, pokazując kierunek na zachód. – Niech się pan kieruje wzdłuż drogi w tę stronę. Odważnie! Może pan być w Marsylii jeszcze tej nocy! Niech pan odszuka w starym porcie *Marie-Magdaleine*, trójmasztową barkę załadowaną do Valparaiso w Chile. Kapitan jest uprzedzony. Weźmie pana na pokład. Nazywa się pan Jacques Reynaud. Oto papiery na to nazwisko. Ma pan tutaj złoto. Niech się pan stara odbudować sobie życie. Żegnam!

Zanim Jean miał czas odpowiedzieć, pan Bernardon zniknął wśród drzew. Uciekinier został sam na skraju drogi.

VIII

Dobrą chwilę Jean Morénas stał nieruchomo, zaskoczony rozwiązaniem swej niewyjaśnialnej przygody. Dlaczego po pomocy, udzielonej mu w ucieczce, jego protektor go opuścił; dlaczego, przede wszystkim, ten nieznajomy zainteresował się losem skazanego, który niczym się szczególnym nie odznaczał? Jak się nazywał? Jean zauważył, że nawet przez chwilę nie pomyślał, aby spytać się o nazwisko swego wybawcy.

Ale nie było wcale ważne, czy jest jeszcze sposób na nadrobienie owego przeoczenia. Najważniejszym było to, że nie musiał już ciągnąć kajdanów, które tak długo męczyły jego kości. Resztę wyjaśni sobie później, lub nigdy. Teraz pewne było to, że stał sam na skraju pustej drogi – ze złotem w kieszeni i zaopatrzony w legalne papiery – oraz oddychał pełną pierśią upajającym powietrzem wolności.

Jean Morénas ruszył dalej. Kazano mu iść w stronę Marsylii, toteż skierował się w tym kierunku, nawet o tym nie myśląc. Ale zatrzymał się nagle po pierwszym kroku.

Marsylia, *Marie-Magdaleine*, Valparaiso w Chile, odbudowa życia – to czcza gadanina! Czy tylko w celu “odbudowania życia” w dalekich krajach marzył tak mocno o odzyskaniu wolności? Nie, nie! W czasie tych długich lat więzienia marzył o tylko jednej krainie: Sainte Marie des Maures i o jednej tylko istocie na ziemi: Marii. To tęsknota za miasteczkiem i wspomnienie Marii powodowały, że więzienie było tak straszne, łańcuchy tak ciężkie. A teraz wyjechałby, nawet nie próbując ich zobaczyć? No nie! Lepiej byłoby powrócić i poddać swe plecy batom strażników więziennych!

Nie, zobaczyć swe miasteczko, uklęknąć na grobie matki, a zwłaszcza zobaczyć Marię – oto co należało uczynić za wszelką cenę. Kiedy stanie przed dziewczyną, odnajdzie odwagę, której niegdyś mu brakowało. Wytłumaczy się, będzie mówił, wykaże swą niewinność. Maria nie jest już dzieckiem. Być może teraz go pokocha. W tym przypadku poprosi, by poszła z nim. Jaka piękna przyszłość otworzy się wtedy przed nim! A jeżeli przeciwnie, nie pokocha go, będzie co będzie. To nie będzie miało żadnego znaczenia.

Jean zszedł z głównej drogi, wszedł w pierwszą ścieżkę, jaka ją przecinała, kierując się na północ. Ale wkrótce znów się zatrzymał, odwołując się do swego rozumu i ostrożności. Zbyt dobrze znał region, w którym się znajdował, który tak często w swej młodości przemierzał pieszo, aby nie wiedzieć, że cel do jakiego zmierza, nie jest zbyt oddalony od miejsca w którym się znajduje. W ciągu dwóch godzin mógłby dotrzeć do Sainte Marie des Maures. Nie należało zagłębiać się w tę okolicę przed zapadnięciem ciemnej nocy, bo mógłby zostać zatrzymany przy pierwszym kroku.

Zatrzymał się więc we wsi i ruszył definitywnie w drogę dopiero przy zachodzie słońca, po długim śnie i wzmacniającym posiłku w gospodzie.

Wybiła dziewiąta i ciemność stała się głęboka, gdy dotarł do pierwszych domów Sainte Marie des Maures. Wyludnionymi uliczkami Jean prześlizgnął się aż do oberży wuja Sandre’a, nie będąc widzianym przez nikogo.

Jak tam wejść? Drzwiami? Oczywiście nie. Przecież nie wiedział, kto znajduje się w sali za nimi, czy przypadkiem nie zderzy się z wrogiem.

Czy oberża nadal należała do Marii? Dlaczego nie miałyby po tylu latach przejść w inne ręce?

Na szczęście był lepszy i pewniejszy sposób niż drzwi, by wejść do środka.

Nierzadko domy Prowansalczyków posiadają tajemne wyjścia, pozwalające na wchodzenie i wychodzenie nie zauważonym. Te “przejścia”, bardziej lub mniej zmyślne w zależności od przypadku, zostały niewątpliwie wymyślone w czasie wojen religijnych, które

obracały tę krainę w perzynę. Nic więc bardziej normalnego było w tym, że współcześni tych epok wojennych szukali w chwili zagrożenia sposobów ucieczki przed wrogami.

A sekret oberży wuja Sandre'a, sekret nieznanymi właścicielowi, został odkryty przypadkowo przez Jeana i Marię w czasie ich dziecięcych zabaw. Dumni z posiadania tej tajemnicy zachowali ją dla siebie i nie mówili o niej nikomu. Kiedy wyrosli, też zapomnieli o niej do tego stopnia, że Jean miał nadzieję odnaleźć mechanizm nietknięty do chwili, gdy zechce go użyć.

Sekret polegał na ruchomości tylnej ściany kominka w wielkiej sali. Jak w wielu budynkach wiejskich, kominek ten był olbrzymi, wystarczająco szeroki i głęboki – małe palenisko zajmowało tylko jego środek – aby ukryć w głębi kilka osób. Tył był zrobiony z dwóch lanych płyt, ustawionych równolegle i oddalonych od siebie o kilka decymetrów. Te dwie płyty były ruchome i mogły obracać się lekko przy użyciu odpowiednio poruszanej rączki. Tak więc każdy posiadacz tego sekretu mógł, nie będąc podejrzanym przez nikogo, wejść w przestrzeń między dwiema płytami, a potem, zamknąwszy płytę, która wcześniej otworzyła mu przejście, uchylić drugą i wejść w ten sposób do środka lub wyjść na zewnątrz.

Jean okrążył dom i, wodząc dłonią po powierzchni muru, bez zbytej trudności znalazł zewnętrzną płytę. Kilka minut poszukiwań pozwoliło mu na rozpoznanie uchwyty dźwigni, którą przesunął w odpowiednim kierunku. Rzeczywiście nic się nie zmieniło. Dźwignia posłuszna była dłoni i płyta z głuchym pomrukiem odsunęła się pod naciskiem ręki.

Jean wemknął się przez tę szczelinę. Następnie, zamknąwszy ją, odetchnął głęboko.

Należało działać ze wzrastającą ostrożnością. Promień światła przenikał do kryjówki przez obramowanie wewnętrznej płyty i dźwięk jakiegoś głosu napływał z wielkiej sali. Nie spano jeszcze w oberży. Zanim się pojawi, powinien koniecznie wiedzieć z kim ma do czynienia.

Niestety, Jean mógł sobie przystawiać oko do płyty, lecz nic nie mógł dojrzeć. W końcu, zmęczony, postanowił uchylić płytę bez względu na ryzyko...

Dokładnie w tym momencie rozległ się krzyk w wielkiej sali. Najpierw był to krzyk przesywający, krzyk wołający o pomoc, agonalny. Natychmiast potem nastąpił charkot, później słycać było już tylko sapanie, podobne odgłosom kowalskich miechów, jakie wydają dwaj walczący przy ciosach, któremu to hałasowi towarzyszył odgłos upadającego mebla.

Po krótkiej chwili wahania Jean poruszył dźwignię. Płyta obróciła się, odsłaniając widok na całą główną salę oberży.

W chwili, gdy chciał już wbiec do sali, cofnął się do osłaniającego cienia wypełniającego kominek wraz z dymem kilku polan pozostawionych na palenisku – przerażony tym, co działo się przed jego oczami.

IX

Przy ciężkim stole, znajdującym się na środku sali, jeden człowiek siedział, drugi, stojąc z tyłu za nim, dusił go, całe swe ciało naprężając w tym wysiłku. To ten pierwszy, czując, że schwycono go za gardło, najpierw krzyknął, potem rzeźił. Natomiast to z piersi drugiego wydobywał się ten ponury oddech atlety męczącego się przy przewyciężaniu przeciwnika. W czasie walki upadło krzesło.

Przed człowiekiem, który siedział, znajdował się kałamarz, papier listowy, które wskazywały, że był on w trakcie pisania, gdy wróg na niego napadł. W zasięgu jego ręki, na stole, leżała na pół otwarta torba wypełniona papierami.

Zastana scena trwała zaledwie około minuty i już miała się ku końcowi. Człowiek siedzący przestawał się już bronić i słysząc było tylko oddech mordercy. Scena ta i tak nie mogłaby trwać dłużej. Krzyk ofiary został usłyszany. Na zewnątrz zaczął się ruch. W pokoju na pierwszym piętrze oberży, dokąd dochodziło się drewnianą galeryjką, na którą wchodziło się z kolei schodkami zaczynającymi się w wielkiej sali, Jean usłyszał dwie bose stopy stąpające ciężko po podłodze. Ktoś wstawał na górze. Jeszcze chwila a drzwi otworzą się i nadejdzie świadek.

Morderca pojął niebezpieczeństwo. Jego ręce puściły szyję i, kiedy głowa ofiary opadła bezwładnie na stół, zanurzyły się w torbie, z której wyjęły ściśnięte zwitki banknotów. Potem mężczyzna skoczył do tyłu i zniknął za małymi otwartymi drzwiami pod schodkami, które prowadziły do piwnicy.

Przez sekundę jego twarz pojawiła się w pełnym świetle. Nie trzeba było więcej Jeanowi Morénasowi, by przerażony, ogłupiały, rozpoznał go...

Ten człowiek był tym, który pomógł zrzucić kajdany niewinnemu galernikowi, który dał mu złoto, który nim się opiekował, prowadził przez wsie aż do miejsca położonego kilku kilometrów od Sainte Marie des Maures. Na próżno założył sztuczną brodę i perukę, którymi chciał zmienić swe oblicze. Pozostawały oczy, czoło, nos, usta, postawa i Jean nie mógł się pomylić.

Lecz usunięcie tej sztucznej brody i peruki dawało efekt jeszcze bardziej zadziwiający i jeszcze bardziej straszny. W człowieku tym, któremu powrócił jego naturalny wygląd, w mężczyźnie, który okazał się jednocześnie wybawcą i mordercą, Jean rozpoznał ze zdziwieniem swego niegdyś zaginionego brata Pierre'a, którego nie widział od piętnastu lat.

Z jakich tajemniczych powodów jego brat i jego wybawca byli jedną i tą samą osobą? Dzięki jakiemu zrządzeniu losu Pierre Morénas znajdował się dokładnie tego dnia w oberży wuja Sandre'a? W jakim celu? Dlaczego wybrał tę oberżę na miejsce swej zbrodni?

Te pytania gorączkowo tłoczyły się w głowie Jeana. Fakty odpowiedziały same za siebie.

Ledwie morderca zniknął, gdy otworzyły się drzwi na pierwszym piętrze.

Na drewnianej galeryjce pojawiła się młoda kobieta, do której cisnęło się dwoje dzieci w nocnych ubrankach, z trzecim, całkiem maleńkim dzieckiem w ramionach. Jean rozpoznał Marię, Marię z dziećmi!... Oczywiście jej dziećmi!... A więc ona odrzuciła, zapomniała niewinnego, który, daleko od niej, umierał w więzieniu? Nieszczęśnik zrozumiał natychmiast bezcelowość swej nadziei.

– Mój Pierre!... Pierre! – zawołała młoda kobieta głosem drżącym od niepokoju.

Nagle zauważyła ciało nieruchomo leżące na stole. Cicho powiedziała: "O, mój Boże" i szybko zeszła z maleństwem w ramionach, a dwójka pozostałych dzieci, płacząc, niemal stoczyła się za nią.

Podbiegła do uduszonego człowieka, uniosła jego głowę i odetchnęła z ulgą. Nie rozumiała niczego z tego, co się tutaj stało, ale wszystko było lepsze, niż to, czego się obawiała – zamordowany mężczyzna nie był jej mężem.

W tym samym czasie zastukano ostro do zewnętrznych drzwi i wiele głosów dało się słyszeć na zewnątrz. Obawiając się nie wiadomo czego, Maria cofnęła się ku schodom, jak zwierzę uchodzące do swego schronienia, gdy zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo, i zatrzymała się na pierwszym stopniu, z dwojgiem dzieci uczepionych jej spódnicy, cały czas trzymając trzecie w ramionach.

Ze swego miejsca nie mogła dostrzec drzwi do piwnicy. Nie widziała więc, jak te drzwi uchyliły się, i jak Pierre Morénas wsunął w szparę głowę o twarzy zielonej od zwierzęcego wręcz strachu. Ale Jean, przeciwnie, widział cały ten obraz: martwego człowieka, Marię z dziećmi błagającymi o ucieczkę, Pierre'a, swego brata – mordercę! – w miejscu zbrodni i czującego zbliżającą się, następującą po zbrodni, karę. W jego mózgu kłębiły się myśli jedna za drugą. W końcu zrozumiał.

Obecność Pierre'a, jego dzisiejszy czyn, oraz niekompletne oskarżenie wuja Sandre'a wyjaśniały przeszłość. Dzisiejszy morderca był zabójcą z tamtego dnia. To za swego brata winowajcę zapłacił niewinny Jean. Potem, kiedy czas uciszył echa tragedii, Pierre powrócił, rozkochał w sobie Marię i znów, po raz drugi, zniszczył życie nieszczęsnego brata, który tymczasem popadał w rozpacz pod twardym batem strażników więziennych.

Ale, w końcu!... To wszystko się skończy teraz!... Jeanowi wystarczyło powiedzieć jedno słowo, by odwrócić ten stos oskarżeń i zemścić się za jednym razem za wszystkie tortury jakich doznał. Jedno słowo?... Nawet nie jedno. Wystarczy, by zamilkł, zniknął bez hałasu, tak jak przyszedł. Morderca nie może uciec. Już go właściwie pojmano. Wkrótce i on pozna więzienie, tak jak Jean...

A potem?...

Słowo to zabrzmiało w jego uchu jakby wypowiedziane przez ironizującego przeciwnika... Tak, co potem, tak naprawdę?... Co stanie się, kiedy Pierre i Jean obaj zostaną zamknięci na galerach? Jego przegrane szczęście będzie oddane bratu. Niestety! Maria będzie go kochać jeszcze bardziej, wcale nie mniej, tego trzęsącego się w tej chwili ze strachu mężczyznę. Bo ona, biedna dziewczyna, kochała go całą sobą. Jej głos, kiedy wołała Pierre'a, krzyczał miłością. Wyrażała ją też swą postawą, stojąc, ściskając swe dzieci w ramionach, zamykając swym ciałem schody, jakby chciała bronić dostępu do ogniska domowego przed nieznanym ale wyczuwanym zagrożeniem.

A więc, no cóż, co by to dało?... Czy zemsta zwróciłaby jego utracone szczęście? Czy uratowałyby to jego nadzieje, gdyby pogrążył Marię w nieszczęściu? Mógł zrobić inaczej: dać tej, którą uwielbiał, złudzenie szczęśliwego życia i zachować dla siebie ból, cały ból, do którego, niestety, już tak długo przywykał. Do czego lepiej można by użyć jego smutnego losu? Nie mógłby już być kimś, bo był już nikim. Drogę przed sobą miał zamkniętą i nie istniało już nic, co dałoby mu jakąś nadzieję. Jak lepiej można byłoby posłużyć się jego zbędną osobą, jeżeli nie poświęcając jej, by zbawić kogoś innego – inną istotę, która posiadała jego serce, której życie było jego życiem, której szczęście było jego szczęściem?...

Tymczasem na zewnątrz wzrastał się ruch. Drzwi zostały otwarte siłą. Czterech czy pięciu mężczyzn weszło, podbiegło do ofiary i podniosło jej głowę.

– Na Boga!... – krzyknął ktoś. – To pan Cliquet!

– Notariusz! – krzyknął drugi mężczyzna.

Zaczęli się śpieszyć. Pan Cliquet został rozciągnięty na stole. Jego pierś drgnęła natychmiast i głęboki oddech podniósł żebra.

– Dzięki Bogu! – powiedział jeden z wieśniaków. – Żyje!

Skropiono zimną wodą twarz notariusza, który wkrótce otworzył oczy. Jean westchnął smutno. Morderstwo nie zostało do końca spełnione. Ofiara przeżyła, toteż dla mordercy będzie tylko więzienie. Wolałby stryżek.

– Kto panu to zrobił, panie Cliquet? – spytał jeden z wieśniaków.

Notariusz, który ledwie dyszał, pokazał gestem, że nie wie. Nie widział faktycznie swego oprawcy.

– Szukajmy! – zaproponował ktoś.

Nie musieli długo szukać. Winowajca nie był daleko i w dodatku sam się głupio wydał.

Licząc na to, że skorzysta z pierwszego zamieszania, by dać nogę, Pierre otworzył szerzej drzwi, które go chroniły i już stawiał nogę na posadzce sali, aby nabrać rozpędu. Szanse miał niewielkie; a nawet gdyby udało mu się wywinąć z tego niebezpieczeństwa, było jeszcze coś innego, trudnego do uniknięcia. Musiałby nieuchronnie przebiec przed Marią, która nie ruszyła się z miejsca, w którym wciąż tkwiła jak skamieniała. Zrozumiałaby wtedy natychmiast.

Tak więc uratowanie winnego nie miało sensu, gdyby równocześnie nie było uratowane szczęście Marii. A żeby tak było, nie mogła przestać kochać tego, któremu się oddała; nigdy, nigdy nie mogła się dowiedzieć. Kto wie? Może jednak było za późno?... Być może rodziło się w tej główce, której czoło bledło pod wpływem tajemniczej trwogi, jakieś podejrzenie?...

Jean gwałtownie wyszedł z półcienia rzucanego przez obrzeże kominka i wkroczył w światło sali. Wszyscy natychmiast go rozpoznali: Pierre i Maria, która spojrzała na niego oczami rozszerzonymi zdziwieniem, pięciu chłopów, których twarze wyrażały uczucia złożone z sympatii, jaka pozostała w nich z przeszłości, i z nieprzewycięzonego obrzydzenia, jakie wzbudza zawsze więzień.

– Nie szukajcie – powiedział Jean. – To ja to zrobiłem.

Nikt nie powiedział słowa. Nie dlatego, że mu nie wierzono. Przeciwnie, wyznanie było prawdopodobne, bo kto już raz zabił, może to zrobić raz jeszcze. Lecz było to tak nieoczekiwane, że zaskoczenie odjęło im mowę.

Tymczasem bieg zdarzeń zmienił nurt. Pierre wychylił się zza drzwi i bez zwracania niczyjej uwagi podszedł do Marii, która wydawała się nie zauważać jego obecności. Wyprostowała się, twarz jej jaśniała szczęściem i nienawiścią. Szczęściem, bo runęło, zaledwie uformowane, podejrzenie, jakie ją ogarnęło; nienawiścią zaś do tego, którego wyznana zbrodnia była przyczyną powstania w niej tak wstrętnej myśli.

Jean patrzył jedynie na Marię.

Młoda kobieta wyciągnęła ku niemu pięść.

– Kanalio! – krzyknęła.

Nie odpowiadając, Jean odwrócił głowę i nastawił ramiona na uderzenia pięści, które na niego spadły. Wyprowadzono go.

Drzwi, szeroko otwarte, obrysowywały czarny prostokąt, w który Jean wpatrywał się z pasją. Na tym ciemnym tle rysował się dla niego wyraźnie obraz równocześnie okrutny i słodki. Widział pod nieskazitelnie błękitnym niebem nabrzeże spalone słońcem... A na tym nabrzeżu mijali się, niosąc ciężkie ładunki, ludzie o stopach obciążonych żelazem... Ale nad nimi świecił osłepiający obraz, portret młodej kobiety trzymającej dziecko w ramionach...

Jean, z oczami wpatrzonymi w ten obraz, zniknął w ciemności nocy.

Przypisy

1 adiutant – tu: wojskowy stopień podoficerski, wyższy od starszego sierżanta.

2 brzeszczot – pilka do metalu.

3 cal – miara długości równa ok. 2,5 cm.

4 rentier – człowiek pobierający rentę, tu: mający stałe dochody.

5 krawędziak – kawałek drewna.

6 sążen – miara długości równa jednej tysięcznej mili, tj. ok. 1,8 m.